

W królestwie mgieł i smogu

Terminarz:

1.	3-15.V.1966	13 dni	Londyn	z Agpol'u	samolotem
2.	II.1967	14 dni	Londyn-Glasgow-Bristol	z Agpol'u	samolotem/pociągiem
3.	29.VI.-12.VII.69	14 dni	Londyn	z Animex'u	samolotem
4.	VI.77	4 dni	Londyn	z Ambasady Kanady	samolotem w drodze powrotnej z Kanady
5.	7.-10.VIII.1994	4 dni	Londyn i Leicester	z Darex'u	samolotem
6.	9.-18.IX.1994	10 dni	Dover-Londyn	prywatnie z Elżbietą, Grzesiukami i Kasprokami	autokar/prom:Calais-Dover i z powrotem

Trudno było mi się zabrać do wspomnień z W.Brytanii. Dominują w nich wrażenia natury turystycznej, a nie refleksje. Te pierwsze oddają najlepiej przewodniki turystyczne, a ja z nimi nie chcę i nie jestem w stanie konkurować. Te drugie nie były aż tak silne i ciekawe, aby o nich pisać. Pomyślałem jednak, że w międzyczasie w W.Brytanii wiele się zmieniło i być może moje wspomnienia „z dawnych lat”okażą się jednak ciekawe ?

Bodźcem do spisywania wspomnień z moich pobytów w W.Brytanii była niewątpliwie seria angielskich filmów dokumentalnych poświęconych historii kilku angielskich rodzin, w tym robotniczej rodzinie górniczej o tradycjach komunistycznych. A przecież ja z angielskimi komunistami też miałem do czynienia !

Muszę się zastrzec, że z powodu upływu wielu lat, nie gwarantuję prawidłowej chronologii pewnych moich przypadków, ale czy chronologia ma tu jakieś znaczenie ?

Przede wszystkim muszę napomknąć, że w latach 60-tych latało się z Warszawy do Londynu wiele godzin via Kopenhaga. Polskie Linie Lotnicze LOT w owym czasie i chyba do połowy lat 70-tych dysponowały tylko samolotami śmigłowymi - najpierw małymi Li-2 (dwusilnikowe i strasznie hałaśliwe), potem turbośmigłowymi: najpierw angielskimi chyba marki Convair, potem radzieckimi Il-18. Samoloty Li-2 miały tylko krótki zasięg i do Londynu leciało się z przesiadką w Kopenhadze-Kastrup. Kiedyś czekałem w Kastrup na połączenie z Londynem 4 godziny (!). Gruntownie zwiedziłem lotnisko i pamiętam, że wdałem się w rozmowę z kilkoma żołnierzami amerykańskimi lecącymi z Aten do USA z przesiadką w Kopenhadze. Gdy zapytali, skąd jestem i odpowiedziałem, że z Polski, strasznie się dziwili, co to za kraj i gdzie on jest położony. Tak chyba zareagowałiby Polacy na informację, że ktoś pochodzi z republiki Burkina-Fasso.

LOT był w owym czasie linią strasznie prowincjonalną. Jakby nie było, już w 1964 r latałem radzieckim samolotem odrzutowym Tu-104, a w roku 1965 odrzutowcem Caravelle południowo-wietnamskich linii lotniczych. Nawet Czesi mieli radzieckie Tu-104 (leciałem takim z Phnom-Penh w Kambodży do Paryża z międzylądowaniami w Rangunie, Bombaju, Dakhranie (Arabia Saudyjska), Kairze i Pradze.

Dygresja I

Moje wyjazdy służbowe do W.Brytanii w latach 1966 i 67 przyczyniły się do mojej tzw. kariery zawodowej. Zgodnie z rutyną służbowych wyjazdów zagranicznych, delegat zobowiązany był zgłosić się u pracownika zajmującego się w biurze polskiego Radcy Handlowego (BRH) przy Ambasadzie Polskiej działalnością danej centrali handlu

zagranicznego (CHZ), w moim przypadku – Agpol'u). BRH mieściło się (i pewnie nadal się mieści) przy (chyba) ul. New Cavendish Street, zaś ambasada – niedaleko, przy eleganckiej Portland Place.

Z ramienia Agpolu – agencji reklamy handlu zagranicznego działającej wówczas w Polsce na zasadach wyłączności tak w zakresie polskiej reklamy za granicą, jak i zagranicznej reklamy w Polsce – jako kierownik Działu Reklamy Art.Spożywczych organizowałem wzgl. współorganizowałem (przy współpracy z daną centralą handlu zagranicznego i jej lokalnego agenta) reklamę wszystkich polskich „żywnościowych” CHZ, a więc „Animex'u” (zwierzęta i artykuły pochodzenia zwierzęcego), „Agros'u” (przetwory rolno-spożywcze), „Rolimpex'u” (masowe produkty rolnictwa), „Hortex'u” (owoce i warzywa itp.), „Polcoop'u” (eksport wyrobów żywnościowych pochodzenia spółdzielczego).

W BRH problematyką żywnościową zajmował się przeważnie jeden pracownik. W Londynie był nim p.Zb. Ślusarski – młody, energiczny i zaangażowany człowiek. Brał ze mną udział w licznych spotkaniach w londyńskich agencjach reklamowych, u właścicieli środków reklamy (np. w London Transport - Dyrekcji Londyńskich linii komunikacyjnych, w tym metra), przede wszystkim zaś u agenta polskich central żywnościowych w W. Brytanii – w „Anglo-Dal'u” (znaczej firmy opartej na państwowym polskim kapitale), której dyrektorem w tamtym czasie był p. Dęborski – malownicza postać, późniejszy Dyrektor Naczelny Animexu, potem polski ambasador we Włoszech, potem w Libii.

Tak Panu Ślusarskiemu, jak i p. Dęborskiemu (n.b. dobrym znajomym) bardzo odpowiadał mój styl pracy. W 1967 r. obaj wrócili z placówek do Polski. P. Dęborski objął stanowisko Dyrektora Naczelnego Animex'u – jednej z wówczas największych polskich CHZ prowadzącej interesy w całej kapitalistycznej Europie i przede wszystkim w USA. Stanowisko swojego zastępcy ds. handlowych powierzył p. Ślusarskiemu i obaj od razu zaczęli mnie namawiać do przejścia do Animexu na stanowiska Kier. Działu Reklamy Wystaw i Targów (później przemianowanego na Dział Marketingu). Propozycja była trudna do odrzucenia, bo byłem Agpolem już trochę zmęczony, przede wszystkim apodyktycznością Dyrektora Agpolu, p. M. Dytko, którego zresztą bardzo szanowałem, przede wszystkim jednak praca w Animexie stwarzała mi nowe możliwości zawodowe, w tym także wyjazdowe. Uzgodniliśmy z obydwojema panami, że Animex wystąpi do Agpolu z formalną prośbą o przekazanie mnie do dyspozycji Animexu. Tak też uczyniono. Dyr. Dytko znalazł się w trudnej sytuacji: zdawał sobie sprawę, że jeśli mnie nie przekaże do Animexu, to pewnie złożę wypowiedzenia i sam tam przejdę, z drugiej zaś strony liczył, że mając w Animexie „swojego” człowieka może spodziewać się lepszej niż dotąd i korzystnej dla Agpolu współpracy z Animexem, z czym mi się zresztą zwierzył.

Tak więc dzięki dwóm pierwszym pobytom w Londynie poczyniłem znaczny skok w swojej karierze zawodowej chociaż, jak się później okazało – wszystko ma swoje dwie strony, ale faktem jest, że dzięki pracy w Agpolu, a potem w Animexie, dzięki licznym podróżom służbowym zdobyłem w szeregu krajów duże doświadczenie zawodowe i stałem się, jak na owe czasy, autentycznym, na skalę Polski, specjalistą w zakresie marketingu i reklamy artykułów rolniczych.

Londynowi zawdzięczam więc rozwój mojej kariery zawodowej !

W czasie moich pierwszych czterech pobytów w Londynie zawsze mieszkałem w hoteliku „Shalimar” przy ul. Nottingham Place należącym do naszego rodaka, eks-Andersowca, p. Konopki. Było tanio, swojsko, wszędzie blisko. Mile wspominam ten hotelik, tradycyjne brytyjskie śniadania: bacon & egg , ale też oszczędność właściciela. Np. pokoje miały system grzewczy, który uruchamiał gość. Zimą 1967 r. pan Konopka wrzucił do urządzenia grzewczego monetę szylingową – na zachętę. Ogrzewanie działało potem chyba godzinę.

Okazało się jednak, że tak ja, jak i inni Polacy przepadają za chłodem! Na szczęście zimy brytyjskie nie były zbyt srogie.

Z „Shalimar’u” miałem dwa kroki do muzeum figur woskowych Madame Tussaud [tuso], na ulicę Baker street (gdzie rzekomo mieszkał słynny detektyw Sherlock Holmes), blisko było do BRH i ambasady i do Oxford Street.

W roku 1994, w czasie prywatnego pobytu w Londynie z żoną i z dwojgiem zaprzyjaźnionych małżeństw niestety z przykrością stwierdziłem, że hotelik zmienił właściciela. Nowym został jakiś Pakistańczyk

Pobyty w Londynie w latach 1966 - 69

Fascynowała mnie atmosfera Londynu – miasta o przynajmniej stu obliczach. Już w czasie pierwszego pobytu w Londynie w roku 1956 starałem się „zaliczyć” wszystko, co znane i ciekawe, bo musiałem się liczyć z tym, że jestem tu po raz pierwszy i kto wie, może ostatni. Na szczęście byłem tam jeszcze pięć razy, a za każdym pobytym odkrywałem coś nowego. Tak na przykład dopiero za ostatnim tam pobytom w 1994 r. „zaliczyliśmy” z żoną zamek w Windsorze i słynne Kew Gardens – park botaniczny leżący na obrzeżach Londynu. W czasie pierwszego tam pobytu „odkryłem” Speaker’s Corner w Hyde Parku. Spędziłem tam kilka godzin, bo atmosfera tego miejsca była niepowtarzalna: mnóstwo ludzi, wielu mówców stojących czy to na skrzynce, czy na drabince – akcesorium zgodnie z prawem (a może tradycją) nieodzowne. Przysłuchiwałem się ich „debatom” i pamiętam, że myślałem wówczas, jak bardzo przydałby się taki wolny kątek w Warszawie, żeby ludzie mogli się swobodnie wygadać. Byłem tam jeszcze wielokrotnie, ostatni raz z żoną, w roku 1994.

Dygresja II

Brak możliwości swobodnego wypowiedzania się w sposób niezgodny z obowiązującą wówczas w Polsce komunistyczną ideologią doprowadzał wielu moich zaangażowanych politycznie rodaków do frustracji, obsesji i wręcz do odchyłeń umysłowych. Pamiętam dwa przypadki antykomunistycznych, wulgarnych wrzasków dobiegających z otwartych okien pobliskich bloków na Rakowcu, w Warszawie, gdzie mieszałem, a przede wszystkim – w czasie gdy w latach 1976-80 pracowałem w Ambasadzie Kanady w Warszawie – wpływające do ambasady listy ludzi politycznie sfrustrowanych i niejednokrotnie jednoznacznie niezrównoważonych umysłowo, długie listy, czasami o treści w ogóle „nietrzymaającej się kupy”, pełne inwektyw pod adresem członków ówczesnych komunistycznych polskich władz, na zmianę z antyrządowymi dowcipami. My, polscy pracownicy ambasady czytaliśmy je z mieszanymi uczuciami. W każdym społeczeństwie istnieją bardzo zaangażowane politycznie (a np. w Ameryce – religijnie) jednostki, które brak swobodnego wypowiedzania się doprowadza wręcz do aberracji umysłowych. Taki polski speaker’s corner, gdzie mogliby się swobodnie wypowiedzieć, pewnie niejednego uchroniłby przed utratą zmysłów.

W czasie pierwszego pobytu w Speaker’s Corner zrobiłem wiele zdjęć.

Na jednym widać stojącego na drabince starowiernego Żyda trzymającego w ręku torbę i coś tam perorującego ludziom, którzy go w ogóle nie słuchają i obojętnie przed nim przechodzą. Na innym stoi Pakistańczyk atakujący Hindusów. Inne przedstawiają aktywistów religijnych, mnicha-franciszkanina, przedstawicieli różnych sekt, stojącego na skrzynce zwolennika wegetarianizmu. Mówcy coś tam bełkoczą, słuchacze reagują śmiechem lub kontrargumentami lub atakują: np. w przypadku franciszkanina – że pewnie jest Irlandczykiem i jego miejsce w Irlandii, a nie w Londynie. Przeważa humor, choć występuje także stonowana agresja (np. w sporze Pakistańczyków z Hindusami).

W Hyde-Parku (1966)



Agitujący wegetarianin i jego publiczność



Starowierny Żyd przemawiający
Hyde-Parku w 1994 r. Elżbieta z
do nikogo



murzynem z dreadami

w

Mój pierwszy pobyt w Londynie był szczególnie bogaty we wrażenia. Byłem tam akurat w dzień otwarcia przez Królową obrad parlamentu. Wiąże się to z uroczystym przejazdem powozów królowej i jej świty oraz limuzyn członków rodziny królewskiej i rządowych z parlamentu do pałacu Buckingham. Wie o tym cały Londyn i zbiera się na trasie przejazdu wzdłuż The Mall (parkowa trasa od Trafalgar Square do pałacu Buckingham). Ja oczywiście też tam byłem i co ciekawsze momenty uwieczniłem na błonie fotograficznej. Wrażenie zrobił na mnie bajkowy wręcz splendor związany z przejazdem oraz...wojskowa orkiestra kobziarzy szkockich – zdrowych wiarusów grających i wykonujących musztrę z ogromnym

zaangażowaniem. A tych orkiestr było kilka, m.in. także orkiestra policjantów. A do tego mnóstwo służby (?) we wspaniałych liberiach i historycznych uniformach, tzw. beefeater'zy z szablami u boku lub z halabardami itd. Tylko raz udało mi się być świadkiem takiego przejazdu, a zapamiętam go na całe życie.



Przejazd orszaku Królowej Elżbiety II z Parlamentu do pałacu Buckingham



Powóz królowej



Beefeaterzy – strażnicy królewscy

Innym przeżyciem godnym odnotowania był dla mnie londyński pochód pierwszomajowy. Odbył się on nie pierwszego maja, a w najbliższą sobotę po pierwszym maja i świadkiem tego pochodu byłem dzięki informacji o pochodzie od mojego znajomego komunisty (o nim dalej). Pochód zajmował tylko jedną stronę jezdni tak, aby nie tamować normalnego ruchu samochodowego. Na czele pochodu jechało na koniach dwóch policjantów, zaś dalsi szli co kilkanaście metrów oddzielając pochód od ruchu ulicznego. W pochodzie uczestniczyły różne organizacje i każda starała się czymś wyróżnić, a więc były orkiestry, przystrojone samochody, transparenty i brytyjska osobliwość (z mojego punktu widzenia): bogato zdobione jakby sztandary zwisające z poprzecznej belki takie, jakie w Polsce stosuje się w czasie uroczystości kościelnych. Do belek sztandaru przywiązane są wstęgi, których końce trzymają w rękach uczestnicy danej grupy pochodu. Wypisz wymaluj – Boże Ciało. Byłem świadkiem pochodu przez przynajmniej godzinę, bo chciałem pozdrawić uczestniczącego w nim mojego znajomego komunistę, p.Posner'a. W pewnym momencie zauważyłem transparent z polskim akcentem: hasłem w języku angielskim: „Odra i Nysa granicą pokoju światowego – wolnych wyborów dla Polski”. Dziwne to było hasło jak na owe czasy: a więc pierwsza jego część – absolutnie zgodna z hasłem głoszonym przez rząd w Warszawie, jednakże druga część – to (z punktu widzenia komunistycznych władców Polski) - absolutna herezja. Kiedy grupa z tym transparentem znalazła się na mojej wysokości zawołałem: A Panowie kogo reprezentujecie ? Odpowiedziano mi, że PPS (Polska Partię Socjalistyczną). Z kolei zapytano mnie: a Pan tutejszy ? Odpowiedziałem, że z Warszawy. Zaczęto mnie serdecznie zapraszać do przyłączenia się do nich. Z uśmiechem podziękowałem. Byli to socjaliści emigracyjni, a więc „niewłaściwi”. Nie chciałem mieć później kłopotów w Polsce. Jakby nie było, byłem w Londynie służbowo z ramienia „reżimowego” przedsiębiorstwa.



emigracyjni PPS-owcy



pochód komunistów

Doczekałem do przejścia grupy komunistów brytyjskich, pozdrawiłem mojego znajomka, p. Posner'a i na tym zakończyłem obserwowanie pochodu.

Dygresja III

Niedawno oglądałem w telewizji wspomniany na wstępie film poświęcony angielskiej rodzinie komunistycznej z którego wynikało, że wielu angielskich górników z głębokim przekonaniem wierzyło w idee komunizmu, że wierzyli, że Rosja radziecka jest niedoścignionym wzorem sprawiedliwości społecznej i zbawi świat. O naiwni !

Mój znajomy, p.Posner był szefem reklamy w brytyjskim organie partii komunistycznej „Daily Worker” i w tym charakterze akwirował w Polsce reklamę do swojej gazety. Reklamy z Polski i pewnie z innych krajów naszego „obozu” stanowiły finansowe wsparcie dla tej

gazety i były zamieszczane m.in. także tam . W czasie pobytu p. Posnera w Polsce towarzyszyłem mu w jego wizytach w CHZ z którymi współpracowałem i tak się zaprzyjaźniliśmy. W czasie pobytu w Londynie zaprosił mnie do siebie do domu, gdzie serdecznie mnie ugoszczono, a przy okazji byłem świadkiem różnicy poglądów pomiędzy nim a panią Posner. Posnerowie byli rodziną żydowską. Wiele dyskutowaliśmy o losie Żydów w Anglii i Izraelu. P.Posner reprezentował punkt widzenia swojej pro-radzieckiej partii krytykując stanowisko Izraela wobec Palestyńczyków. Jego żona z zaangażowaniem broniła Izrael i doszło pomiędzy innymi do poważnej sprzeczki. Wydaje mi się, że na pokaz, bo pewnie oboje myśleli tak samo tyle, że p.Posner czuł się w mojej obecności w obowiązku reprezentować punkt widzenia swojej partii. Nie mam mu tego za złe.

W przerwach między rozmowami handlowymi w czasie moich trzech pierwszych pobytów w Londynie miałem wiele czasu na zwiedzanie Londynu.

W pierwszej kolejności zwiedzałem muzea: British Museum, oczywiście The Tower, Tate galery – galeria sztuki 20 wieku (gdzie byłem kilkakrotnie), National Galery na Trafalgar Square, słynne muzeum techniki oraz London Museum w pałacu Westminsterkim w Hyde Parku. Oczywiście przynajmniej dwukrotnie „zaliczyłem” muzeum figur woskowych Madame Tussaud. To ostatnie nie zrobiło na mnie większego wrażenia. Byłem nim wręcz rozczarowany. Uznałem, że to taka impreza dla mas i charakterystyczne: w Ameryce chyba w każdym mieście są takie wystawy figur woskowych, a np. w Niagarze kanadyjskiej i amerykańskiej – tamtejszych ośrodkach podróży poślubnych – po kilka ! No, ale to „muzeum Madame Tussaud” jest tak znane, że trzeba przekonać się, co ono sobą reprezentuje. Zwiedziłem to „muzeum” najpierw sam, a potem z żoną. Z sympatią wspominam zachowany niedaleko Baker Street, w samym sercu miasta mały, kilkusetletni cmentarzyk ze starymi nagrobkami.

Oczywiście nie omieszkalem za każdym pobycem zwiedzić także City – centrum bankowe Londynu i znajdującą się tam katedrę Św.Pawła, a także Soho – londyńska dzielnica rozrywki i rozpusty, ale tylko jako zwiedzający. Byłem tam np. w kinie na filmie „Oh how lovely war”, o okrutnej I.Wojnie Światowej na polach bitewnych Francji.

Zaskoczyło mnie, że Anglicy wszystko, co zostaje po konsumpcji kinowej po prostu rzucają na podłogę, ale też zaraz po seansie służby kinowe w ciągu 15 minut przed następnym seansem wszystko gruntownie potrafiły usunąć.

Londyn w tamtych czasach (1966-69) nie był jeszcze miastem wysokościowców. Istniał jednak już pierwszy wieżowiec na rogu New Oxford Street i Charing Cross. Jak wiele tam się zmieniło w ciągu ostatnich 40 lat !

Chętnie zwiedzałem bardziej uboczne i obskurne dzielnice Londynu: po drugiej stronie Tamizy za Tower Bridge oraz dzielnicę Aldgate East, gdzie można było tanio kupić różne prezenty (ciuszki) dla mojej ówczesnej żony i córki i gdzie ulica Petticoat lane była stałym ulicznym targiem. „Zaliczyłem” także najbardziej w czasie wojny zniszczoną dzielnicę, która w międzyczasie została zabudowana bezstylowymi blokami, a także wytworną dzielnicę Hampstead z luksusowymi obszernymi domami jednorodzinnymi z obszernymi podjazdami do nich i zadbanymi rabatami. Krótko mówiąc centrum Londynu, niektóre jego dzielnice północne i wschodnie zwiedziłem dosyć gruntownie. Londyn na południe od Tamizy jest mi nieznany za wyjątkiem regionu za Tower Bridge

Wędrując po Londynie z ciekawością obserwowałem jego mieszkańców – ludzi wszelkich ras, jakie tylko występowały w koloniach brytyjskich. Szczególnie rzucali się w oczy murzyni i Hindusi w swoich tradycyjnych turbanach (Sikhowie) no i Hinduski w sari. Widziałem nawet Hindusa z żoną – Angielką, w każdym razie blondynką, także w sari ! Myślałem

wtenczas, że Anglicy, przynajmniej w Londynie, stanowią chyba już mniejszość, a było to 40 lat przed „najazdem” na Londyn Polaków !

Dygresja IV

A' propos Polaków w Londynie: w jednym ze swoich wspomnień piszę o znalezionej przeze mnie na śmietniku książce z 1865 r polskiego emigranta po tzw. Wiosnie Ludów w 1848 r. Sytuacja była wówczas podobna do tej po 1981 r., gdy wielu Polaków z przyczyn politycznych emigrowało na zachód, a tam ich radośnie witano jako bohaterów, ale też po udzieleniu pierwszej materialnej pomocy - chętnie ich się pozbywano. Autor książki i wielu naszych rodaków znalazło się w Londynie. Zajęto się nimi, ale wkrótce na koszt Korony wysłano do brytyjskich zamorskich kolonii: np. do Kanady, a w przypadku autora książki – do Australii, gdzie trafił na okres tamtejszej gorączki złota.

Utkwiło mi w pamięci jego spostrzeżenie, że Londyńczycy bezbłędnie rozpoznawali Polaków...po noszonych przez nich wąsach !Londyńczycy wąsów nie nosili. Ciekawe, czy dzisiaj Londyńczycy także po czymś rozpoznają Polaków ?

W latach 1966-67 ,za sprawą niejakiej Twiggy, w Londynie znalazła swój początek prawdziwa światowa ”rewolucja” w modzie: spódniczki mini. W Anglii były to spódniczki o charakterystycznym kroju, wkrótce w Polsce były to najpierw po prostu skrócone sukienki i spódniczki, a dopiero po pewnym czasie klasyczne mini. W każdym razie moda ta zaskoczyła mnie w Londynie i co tu dużo mówić: bardzo mi się podobała !

W czasie drugiego pobytu w Anglii moja delegacja służbowa obejmowała sprawy w Londynie, w Glasgow i Bristolu.

Do Bristolu udałem się pociągiem. Byłem tam tylko jeden dzień i niewiele widziałem. Miasto nie zrobiło na mnie żadnego nadzwyczajnego wrażenia, natomiast zapamiętałem widoki z okna pociągu, szczególnie piękne domy wiejskie kryte strzechami (tzw cottages). U nas takich już nie ma. A były, choć nie tak ładne, jak w Anglii !

Do Glasgow poleciałem samolotem także tylko na jeden dzień, bo miałem do załatwienia sprawy na tamtejszej Food Fair (targi żywnościowe) z udziałem polskich żywnościowych CHZ (a więc będących w Agpolu w mojej gestii).Miasto nie zrobiło na mnie wrażenia. Uznałem je za typowo przemysłowe, wręcz brzydkie miasto w stylu naszej Łodzi i tylko żałowałem, że nie mogę „zaliczyć” Edynburga. Służba nie drużba.

Dygresja V

Pamiętam przygodę znajomego z Animexu:do Glasgow leciał z Warszawy via Londyn.W Glasgow stwierdzono brak jego bagażu. Dano mu jakąś przyzwoitą kwotę na zakup podstawowych przyborów toaletowych, a gdy do końca targów nadal nie znaleziono bagażu, kazano mu dokonać wyceny rzeczy znajdujących się w zaginionej walizce. Chłop był przytomny i wycenił po cenach brytyjskich i wyszło mu 220 £Stg. Kwotę tę mu wypłacono w gotówce. Odpowiadała ona ówczesnej wartości przynajmniej 3 miesięcznych brytyjskich pensji (przeciętnie 15-20 £Stg tygodniowo).Gość zrobił świetny interes. Po kilku miesiącach dostał z lotniska na Okęciu wiadomość, że jego bagaż odnalazł się. Z nalepek i przywieszek wywnioskował, że jego bagaż obleciał cały świat. Był m.in. w Hong-Kongu i Singapurze. Nikt oczywiście nie zażądał zwrotu wypłaconej mu sumy.

Mnie zagubienie bagażu przytrafiło się przynajmniej dwa razy: raz w Szwecji i raz w Chinach. Nikt mi niczego na”przybory toaletowe” nie wypłacił, zresztą bagaże po kilku dniach się odnalazły i chwała Bogu, bo nie przypuszczam, żeby Rosjanie (bo leciałem do Chin samolotem rosyjskim) cokolwiek mi zapłacili, gdyby bagaż na dobre zaginął.

W czasie drugiego i trzeciego pobytu w Londynie „pogłębiałem” znajomość Londynu, tym razem bardziej od strony lokali rozrywkowych, do których mnie zapraszano. Zaliczyłem więc w porze lunch’u np.lokal ze strip-tease’em oraz typowo brytyjski klub, w którym gentlemani siedzieli sobie w fotelach i czytając gazetę popijali sobie whisky oraz palili cygara. Przydarzyła mi się wtedy bardzo niemiła przygoda. Otóż w czasie mojego pobytu w Londynie przyleciał z-ca dyrektora Agpolu, p. H. i także zamieszkał w „Shalimar’ze”.Jego zadania zupełnie nie pokrywały się z moimi. Był to człowiek nieciekawym, n.b.Żyd, który swoje stanowisko zawdzięczał chyba tylko swojemu pochodzeniu. Znałem wówczas wielu Żydów, ludzi bardzo wartościowych, ale zdarzały się też jednostki, które nie mając żadnych kwalifikacji obsadzały reprezentacyjne stanowiska dzięki wpływom swoich współplemieńców. Dzieje się tak zawsze i będzie działa niezależnie od pochodzenia. Panu H. zorganizowano spotkanie z Dyrektorem ds. reklamy prestiżowej gazety „The Times”, niejakim panem Zamoyskim (z „tych” Zamoyskich). Pan Zamoyski zaprosił p H. I ewentualną osobę towarzyszącą na obiad. P.H. zaproponował mi, żebym mu dotrzymał towarzystwa. Zgodziłem się, bo jeszcze go dobrze nie znałem i w Agpol’u niewiele z nim miałem do czynienia. P.Zamoyski przyjechał po nas samochodem. Towarzyszyła mu, jak się później okazało jakaś fińska hrabina, która przyjechała do Londynu kupić pieski do swojej hodowli. P.Zamoyski zawiózł nas do ekskluzywnego klubu brytyjskich lotników - gmazyska wielkości warszawskiego gmachu byłego KC PZPR (obecnie giełdy). Do sali jadalnej przechodziliśmy długimi korytarzami wypełnionymi różnymi figurami i trofeami lotniczymi. Zasiadliśmy w końcu do niewielkiego okrągłego stołu i rozmawialiśmy na różne tematy. Pierwsze, co mnie zraziło do mojego towarzysza, to jego sposób mówienia z ustami pełnymi jadła i z mlaskaniem. Było mi wstyd. W pewnej chwili poczułem okropny odór śmierdzących skarpet. Ja miałem czyste sumienie, hrabina i p.Zamoyski chyba też. Wypadało mi na p.H.! Nie byłem w stanie skoncentrować się na dalszej rozmowie, która na szczęście wkrótce się skończyła. Nie wiedziałem co z sobą zrobić, a musiałem zachowywać dobrą minę do złej gry. Nigdy tego wstydu nie zapomnę !

Dygresja.VI

Dowodem na to, że analogiczne przypadki zdarzały się także rdzennym Polakom, jest przypadek kolegi z Agpolu, p.X – człowieka niewysokich lotów, ale za to aktywnego działacza partyjnego – pierwszego sekretarza POP (podstawowej organizacji partyjnej) PZPR w AGPOLu. Nie wiem, skąd Dyr. Dytko tego człowieka wytrzasnął. Wydawało mi się, że zna się na ludziach. Szybko się go jednak pozbył wysyłając na „placówkę” zagraniczną, jako przedstawiciela Agpolu w Anglo-Dalu. Dyrektor Dęborski nie mógł wybaczyć Dyr. Dytce, że przysłał mu takiego człowieka i kiedyś opowiedział mi następującą historię:

Anglo-Dal utworzył branżowe kluby brytyjskich importerów polskiej żywności. Był więc klub importerów szynki, klub importerów owoców i warzyw i tp. dalsze kluby. Członkowie poszczególnych klubów spotykali się raz w roku na przyjęciu organizowanym przez Anglo-Dal w salach swojej siedziby blisko British Museum. Przychodzili na spotkania w swoich klubowych krawatach.W czasie tych przyjęć nowym członkom klubu wręczano krawaty klubowe, różne reklamowe przedmioty itp.

W czasie przyjęcia dla członków klubu importerów owoców i warzyw, już po części oficjalnej, w rozmowie z grupą importerów polskiej cebuli Dyr.Dęborski wychwalał jej zalety. Usłyszał to stojący obok, już dobrze podpity p.X i nagle zniknął. Za chwilę przyniósł z magazynu worek cebuli, otworzył go i z fantazją wysypał cebulę na środek sali. Pech chciał, że był to worek cebuli odrzuconej – w połowie zgniłej. Biedny Dyr. Dęborski zbaraniał i pewnie wspominał ten przypadek aż do swojej śmierci.

Mój drugi pobyt w Londynie wspominam także ze względu na wówczas bardzo w Anglii znany film, „Sound of Music”, który obejrzałem w kinie i którym byłem zachwycony. Dzięki temu filmowi zrobiła karierę filmową Julie Andrews

Po trzecim pobycie w Londynie w czerwcu w lipcu roku 1969 uważałem się już za znawcę tego miasta, a przynajmniej wszystkiego, co tam godne uwagi i Londyn, obok trzech innych miast: Vancouver i Sztambuł stał się moim ukochanym miastem, gdzie chętnie spędziłbym starość (najchętniej jako człowiek zamożny). No cóż, los każe mi spędzać emeryturę w Polsce – w Katowicach, ale za to w ciepłym rodzinnym domu.

Gdy więc w roku 1977 wracałem z Kanady do kraju, tak sobie ustawiłem połączenia lotnicze, że w związku z przesiadką w Londynie spędziłem tam cztery dni. Oczywiście zamieszkałem u p. Konopki, zaś ten pobyt w Londynie utkwił mi w pamięci tylko dlatego, że byłem świadkiem, jak mieszkające u p. Konopki jakieś starsze Angielki przeżywały oglądane w telewizji uroczystości z okazji 25tej rocznicy koronacji Elżbiety II. Zrobił na mnie wrażenie ich patriotyzm, jak przeżywały i w głos śpiewały śpiewane w czasie uroczystości pieśni patriotyczne. Ciekaw jestem, czy po problemach rodzinnych rodziny królewskiej, współcześni Brytyjczycy nadal są tak bardzo jej oddani i przywiązani do królewskiej tradycji.

Z pewnych zjawisk dawnej W. Brytanii, tej którą pamiętam z lat 60-tych, został dzisiaj chyba już tylko lewostronny ruch drogowy. W owych czasach W. Brytania wyróżniała się jeszcze, przynajmniej w Europie, systemem monetarnym funta-szterlinga, w którym Europejczycy kontynentalnemu na początek trudno było się połapać. Przed wprowadzeniem systemu dziesiętnego, funt składał się z 20 szylingów, szyling zaś z 12 pensów. Jakoś by człowiek dał sobie z tym radę, ale ceny w sklepach często opiewały na jakieś pół-korony (1/8 funta = 2 szylingi i 6 pensów), florin’y (2 szylingi), gwinee (21 szylingów). Dla kontynentalnego Europejczyka ich system monetarny był czarną magią i chwalić Boga, że od wielu lat obowiązuje tam już system dziesiętny : 1 funt (£) = 100 pensów (p).

Dla Polaka żyjącego w kraju „na drodze do socjalizmu”, gdzie ceny na wszystko były w całym kraju jednolite, trudno też było przyzwyczać się do brytyjskiego, zresztą także w całej Zachodniej Europie, wolnego rynku, gdzie ten sam produkt, w zależności od sklepu, czy nawet dzielnicy miał zupełnie inną cenę. Trzeba było się dobrze nachodzić, żeby jakiś produkt kupić jak najtaniej. Po pewnym czasie miałem doskonałe rozeznanie, co i gdzie w Londynie kupić najtaniej.

Przepadałem za oglądaniem wystaw antykwariatów londyńskich, tych w centrum miasta – eleganckich i tych dzielnicowych - czasami prawdziwych graciarni! Czego tam nie sprzedawano ! Trzeba pamiętać, że W. Brytania przez setki lat nie była przez nikogo najeżdżana. To raczej Brytyjczycy „najeżdżali” innych (kolonie !). Gromadzili więc wszelkie dobra i przez setki lat nie musieli się nimi z nikim „dzielić”. W mieszkaniach i domach, a może piwnicach wzgl. komórkach z natury oszczędnych Brytyjczyków trzymano więc rzeczy na zasadzie: bo mogą się przydać, rzeczy, które w Polsce i gdzie indziej w Europie wyrzucało się na śmieci, albo wystawiano na ulicę (tzw. „wystawki” niemieckie) ale też rzeczy bardzo atrakcyjne ! Londyn był pod tym względem prawdziwym rajem dla zbieraczy staroci !

Po 15 latach, gdy kolejny raz znalazłem się w Londynie, wiele się tam zmieniło. No cóż, 15 lat to kawał czasu. Niektóre z supermarketów zniknęły, inne, np. Marks & Spencer – w latach 60tych należące do najtańszych – nabrały prestiżu i przestały być synonimem taniochy.

Dwukrotny pobyt w Londynie w roku 1994.

W sierpniu spędziłem służbowo w Londynie 3 dni z ramienia f-my Darex, gdzie zajmowałem się importem owoców i warzyw z całego świata.

Towarzyszyłem właścicielom firmy, p.p. Darkowi Wierciakowi i Józkowi Cyganowi, dwóm młodym jeszcze ludziom, którzy od budki z warzywami w Rzeszowie, dzięki własnej uczciwej pracy i inwencji doszli po niewielu latach do potężnej firmy importowo-eksportowej z centralnym magazynem i nowoczesną bananownią w Katowicach, z filiami w Rzeszowie i Gdańsku, z licznymi własnymi samochodami chłodniami do przewozu owoców i warzyw. Darex szybko stał się znany na europejskim i światowym rynku owocowym i jedna z

Z Darkiem i Józkiem na Trafalgar Square i w Dojrzewalni bananów f-my Fyffes



brytyjskich firm consultingowych namawiała wielką brytyjską firmę owocowo-warzywną – Fyffes do wykupienia Darexu i stworzenia swojej bazy w Polsce. Wówczas nic z tego nie wyszło. Ja z Darexu odszedłem na emeryturę, a po dziesięciu latach firma została sprzedana amerykańskiemu koncernowi „Chiquita”. Oprócz zadań wynikających z mojej funkcji, przede wszystkim jednak roli tłumacza obydwu właścicieli firmy, byłem ich przewodnikiem po Londynie. Mieszkaliśmy w dużym hotelu na przedmieściach Londynu i do miasta jeździliśmy metrem. Zawieziono nas do wielkiej bananowni Fyffes’a w Rochester i wizyta tam była dla nas bardzo pouczająca. Zrobiliśmy także jednodniowy wypad pociągiem do Leicester, aby zapoznać się z prowincjonalnym rynkiem handlu owocami i warzywami. Niewiele z tego miasta pamiętam. Widocznie nie zrobiło na mnie wrażenia.

Miesiąc później – we wrześniu znalazłem się w Londynie z żoną i naszymi dobrymi znajomymi, p.p. Grzesiukami i Kasprowymi na już wcześniej zorganizowanej przeze mnie wycieczce. Przejazd odbył się autokarem do Calais, potem promem do Dover i dalej autokarem do Londynu – Victoria Station i z powrotem do Katowic.

Do zorganizowania wycieczki skłoniła mnie uzyskana oferta tanich kwater w domu akademickim w sercu miasta.

Dużym przeżyciem było dla nas przepłynięcie kanału La Manche promem.



Mile wspominam też dojazd do Londynu wśród zielony wzgórz z licznymi pasącymi się owcami, przez miasteczka i wsie, które nigdy nie zostały zajęte przez jakiegoś wroga, okradzione, czy zniszczone.

Szczęśliwy naród !

Mieszkaliśmy w sercu Londynu (z wejściem do domu akademickiego od ul. North Row – południowego zaplecza ul Oxford Street). Okna naszego pokoju na II. piętrze wychodziły na ul. Oxford Street – na stojący naprzeciwko dom towarowy Selfridges i mieliśmy wszędzie blisko. W ciągu dnia, gdy Oxford Street tętniła życiem, w naszym pokoju było raczej hałaśliwie, ale też rzadko tam byliśmy w dzień. Noce były spokojne, zaś wczesnym rankiem jeszcze pustą Oxford Street prowadzono konie policyjne. Mile z żoną wspominamy stukot końskich kopyt po pustej Oxford Street !



uczestnicy wycieczki we wrześniu 1994 r.:
Od lewej: Elżbieta, Jadzia i Jurek Grzesiukowie,
Basia i Jarek Kasprowowie



Scenki londyńskie (1994 r.)

Spotkanie na Picadilly CircusWinstona Churchil'a.
W Anglii ludzie bardzo lubią się przebierać.



W Londynie byłem oczywiście przewodnikiem naszej wycieczki, chociaż towarzyszące nam małżeństwa niejednokrotnie miały własne plany i nie zawsze chodziliśmy po mieście razem. Zwiedziliśmy w Londynie oczywiście wszystko, co należało, a nawet więcej, bo w samym Londynie wdrapaliśmy się z żoną na The Monument – wysoki pomnik w kształcie kolumny, ale wewnątrz ze schodami – wystawiony ku pamięci największego w historii Londynu pożaru miasta w roku 1666. Sympatycznymi akcentami była wizyta z żoną na Speaker's Corner , gdzie moja żona po raz pierwszy zetknęła się z włosami – dread'ami. Wtenczas także po raz pierwszy wraz z żoną gruntownie zwiedziłem ogród botaniczny Kew Gardens na przedmieściach Londynu



w Kew Gardens

oraz Windsor:



Jeden ze starych domów przy murach zamku

Wszystko tam oryginalnie stare, w tym sympatyczne krzywe budynki. Dużym przeżyciem dla nas w pobliżu Buckingham Palace był przemarsz gwardii królewskiej w czerwonych kubraczkach i niedźwiedziach czapach, a w czasie zwiedzania The Tower sympatycznym akcentem był jeden z tamtejszych kruków, który jadł mojej żonie z ręki !



Jadaliśmy albo w akademiku, w którym na każdym piętrze była w pełni wyposażona kuchnia, albo w tanich jadłodajniach (np. w pobliskim KFC). W kuchni spotykaliśmy młodzież z różnych krajów, m.in. z Japonii. Wdawałem się z tymi młodymi ludźmi w rozmowę, np. „uczyłem się” japońskiego. Zaliczyliśmy także typowy londyński pub. Była to bardzo udana wycieczka i mam nadzieję, że w moim życiu nie ostatnia do Londynu.